

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dal ostatnich.

10 — Czy to inżynier?...
— Inżynier?... Chyba nie. Nic o tem nie mówił. A dlaczego się pytasz?

— Bo ja tego pana widziałam w Pradze. Tam uchodził za inżyniera.

— No, to może jest inżynierem. Czy ja wiem.

— Ale, Lolu — tam ludzie tacy, którym można wierzyć, mówili o nim jakieś niedobre rzeczy!... Możebyś ostrzegła matkę...

— Dziękuję ci! Świetne masz pomysły!... Żeby mnie mama tak zmyła, jak ciebie!... Nie głupiam! Co nam zresztą do tego, że ktoś o nim coś mówił... Czynsz zapłacił za rok z góry!...

Józia znowu umilkła, pobita takim rozstrzygającym argumentem.

— No, wynoszę się, bo chcę się przedrzeć trochę po tym burzliwym obiedzie — powiedziała Lola, podnosząc się z kanapy — a tobie, Józio, radzę, jako szczerze ci życzliwa, żebyś była trochę mniej w gorącej wodzie kąpana... I Konrad będzie z tego bardziej zadowolony...

Po wyjściu Loli, Józia spojrzeniem wielkiej miłości i tęsknoty ogarnęła dużą, ustawioną w ramkach na stoliku fotografię Konrada.

— Czy onby mnie pochwalił za to, co zrobiłam, czy zganił? — biła się z myślami i nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Dała wreszcie za wygraną niewczesnym refleksjom, wyjęła z teczek arkusik listowego papieru i zaczęła pisać list do męża.

Pisała długo, serdecznym uczuciem przepajając każde słowo, ale nie wspominała mu nic o tem, że jej jest w jego rodzinnym domu źle i smutno, że czuje się bardzo obca i bardzo samotna.

— — — — —

— Lolu, powiedz Józefie, żeby spakowała swoje rzeczy. Przenieś się do innego pokoju.

— Dlaczego? — zdziwiła się córka.

— Bo ten pokój musi być gruntownie odświeżony.

— Ależ... dopiero niedawno dawano się tani nowe tapety... i sufit jest przemalowany...

— Moja kochana, czy ja się ciebie pytam o to?! — zagadnęła ostro pani Żarnicka, ale Lola tym razem nie dała się jakoś od razu stropić.

— A który pokój mamusia przeznacza dla Konradowej? — podkreśliła głosem słowo: Konradowej.

— Ten w korytarzu...

— Co? Tę dziurę ciemną koło kuchni z oknem na cuchnące podwórze?...

— Przedewszystkiem podwórze w moim domu nie cuchnie!...

— Ale też i nie pachnie, jak bukiet róż! — zbuntowała się nagle Lola.

— Czy to od twojej bratowej nauczyłaś się w ten sposób odpowiadać matce?! I ty sądzisz, że ja na to pozwolę?!

— Ale, mamu, bo naprawdę... Co mama zamierza zrobić! To przecież nie uchodzi!... Choćby wobec służby i znajomych!

— Cicho bądź!

— I co Konrad na to powie!... Jeżeli Józia mu napisze...

Coś, jakby lekkie wahanie, odmalowało się na twarzy pani Żarnickiej. Była to jednak krótka chwila, wyraz nieugiętej stanowczości sięgł znowu twardo rzeźbione rysy matki Konrada.

Nie nawykła do tego, by cofać swoje rozkazy i rozporządzenia.

— Tak będzie, jak powiedziałam. Natychmiast masz iść i oznajmić to twojej bratowej. Inaczej poślę służącą.

— Przecież nasze mieszkanie jest dosyć obszerne... Jeżeli mama pozwoli, to Józia może tymczasowo zamieszkać ze mną...

— Słyszałaś, co mówiłam?!

— Słyszałam, ale mama daruje, że ja tego Józia nie powtórzę. Niech jej służąca zanieś rozporządzenie tej translokacji.

Pani Żarnicka wstała z krzesła, zbliżyła się do córki i spojrzała jej bystro w oczy.

— Słuchaj — powiedziała przyciszonym głosem — byłaś dzisiaj bardzo harda i nie tak po-

winnam mówić z tobą... Ale jesteś moim dzieckiem, więc daruję ci, bo widzę, że ciebie tak samo, jak Konrada, zaczarowała ta intrygantka...

— Mamusiu, Józia nie jest intrygantką! Mamusia jej doprawdy nie zna!...

— Cicho bądź, nie przerywaj! To ty jej nie znasz!... Jako matka ostrzegam cię, miej się na baczności przed tą syreną... Przyjdzie czas, może prędko nawet bardzo, kiedy się przekonasz, co warte jest to niby niewiniątko ze swojemi słodkimi minkami!... Strzeż się jej i trzymaj się od niej zdaleka!... To stworzenie ma truciznę — w swoich, przyznaję, że pięknych — oczach!...

Matka wyszła z pokoju, pozostawiając córkę trochę zastraszoną tą niejasną, a jednak groźną przestrogą.

— Co mama miała na myśli?... Coby mi ta Bogu ducha winna Józia zrobić mogła?... O! nie cierpi jej mama i chciałaby mnie od niej odciągnąć — zadecydowała po chwili namysłu dziewczyna i uspokoiła się.

— — — — —

Kiedy Joasia ze zjadliwym uśmieszkim i ironicznym spojrzeniem oznajmiła Józii, że ma się przenieść do innego pokoju — młoda kobieta przyjęła to niespodziane rozporządzenie zrazu najzupełniej obojętnie.

Było jej to przecież wszystko jedno, w jakim pokoju mieszkać będzie.

Zdziwiły ją trochę te przenosiny, ale nie za niepokoiły.

Zebrała swoje rzeczy i poszła obejrzeć nowe mieszkanie.

Skoro jednak znalazła się w ciasnej, dusznej, ciemnowej ciupce z ordynarnie malowanymi ścianami i umeblowanej bardzo prymitywnie — oczy jej błysnęły gniewnie i buntowniczo.

— Nie! Tego już za dużo! Nie pozwolę tak poniewierać sobą!... Nie mogę pozwolić, jako żona Konrada!...

Z krwistymi wypiekami na policzkach, z błyszczącymi gniewnie oczyma, z drgającymi nerwowo nozdrzami i z wielkim oburzeniem w sercu Józia poszła prosto i śmiało do tęskniowej.

— Proszę mamy — zaczęła tonem tak śmiałym i pewnym, jakim nie przemawiała nigdy do matki męża — czy pokój, który zajmowałam razem z Konradem, musi być koniecznie teraz odświeżony?

Pani Żarnicka spostrzegła zmianę w tonie i zachowaniu się synowej. Postanowiła zmiażdżyć od razu opór, który przeczuwała.

— Tak jest. Słyszałaś przecie — powiedziała bardzo ostro. — Masz się zastosować do tego.

Miała tak groźnie błyszczące oczy i tak stanowczą minę, że Józia kiedykolwiek cofnęłaby się od razu przerażona.

Dzisiaj jednak wyczerpała się jej ustepliwość, a pod wpływem nazbyt dotkliwej urazy brała górę wybuchowa, popędliwa natura.

— W takim razie proszę o wyznaczenie mi innego przyzwoitego pokoju, bo w tej ciupce koło kuchni mieszkać nie będę — powiedziała tak głośno i dobitnie, że aż sama nie poznała swego głosu.

Zwój koronki, którą pani Żarnicka dziergała szydełkiem, potoczył się nagle z jej kolan na ziemię.

Zerwała się i, ciężko dysząc przez chwilę, nie mogła wypowiedzieć słowa.

— Co?! Co?! — zawołała, odzyskując głos — jak śmiesz!... Coś powiedziała?!

— Że tam mieszkać nie będę, bo nie wypada mi, jako żonie Konrada!...

— Ty!... Ty!... Darmozjadzie!... Intruzie!... Nędzarko!... Ty mi będziesz w moim domu robiła przepisy?! Jeżeli ci się nie podoba, to się wynos na ulicę!...

— Dobrze! Pójdę! — powiedziała Józia blada, drżąca, ale spokojna.

Zwróciła się ku drzwiom.

Spokojne słowa synowej podziały na rozgniewaną kobietę, jak zimny tusz.

Spostrzegła, że zanadto pozwoliła opanować się gniewowi i pożałowała swojego uniesienia.

Co będzie, jeżeli Józia rzeczywiście pójdzie teraz z jej domu? O! Na to zawczasie jeszcze — stanowczo zawczasie!... Konrad na to nie przygotowany!

— Ta wariatka doprawdy gotowa to zrobić — pomyślała pani Żarnicka.

— Poczeka! — zawołała tak nakazująco, że Józia, która już brała ręką za klamkę, zatrzymała się.

— Wolno wiedzieć, dokąd się wybierasz? — zapytała ze zjadliwym uśmieszkem, ale panując już nad sobą.

— To chyba pani wszystko jedno — powiedziała cicho synowa. Nie nazywała już Żarnickiej — mamą.

— No, niezupełnie wszystko jedno. Domyślam się, że ci się sprzyrzyło przyzwoite, regularne życie i radabyś zakosztować trochę awanturniczych przygód i odgrywać przytem rolę ofiary!... Dla ciebie skandal nie pierwszyna! Może jednak zechcesz pamiętać o tem, że nosisz obecnie nazwisko Żarnickich.

— Ja właśnie pamiętam o tem.

— Zatem... — pani Żarnicka podjęła porzucaną szydełkową robotę i z największym spokojem zaczęła rozplątywać nici — jeżeli ci tak bardzo zależy na tym pokoju, to mieszkać sobie tam dalej. Robię to ustępstwo nie dla ciebie, ale dla mojego syna.

— Wiem o tem.

— To dobrze, że wiesz. Ale ty pewno nie omieszkaś turbować głowę Konradowi twojemi rzekomymi krzywdami. Ale bądź pewna, że ja na to znajdę środki i nie pozwolę, żebyś mnie poróżniła ze synem...

— Nie mam wcale tego zamiaru. Jabyłam miała niepokoić i martwić Konrada?!... — zawołała Józia z taką siłą szczerości w głosie, że świekra jej uwierzyła.

— Ona jest jednak głupszą, niż przypuszczałam — pomyślała pani Żarnicka, a głośno powiedziała:

— Nie mamy sobie już chyba nic więcej do powiedzenia.

Józia cicho wysunęła się. Poszła do swego pokoju, który jej teraz dziwnie obrzydł, i rzuciła się twarzą na poduszki łóżka. Wyczerpała się jej chwilowa energia, a objął ją w posiadanie żal — bezradny żal prześladowanego, krzywdzonego dziecka.

Gorące łzy jej zwiłżały cienkie, białe płótno poszewek.

— Józio! Jesteś tutaj? — zawołała Lola, wbiegając szybko. — Beczysz!... Niema czego!... Świetnie postawiłaś się mamie! Wprawdzie jest wściekła na ciebie, ale trochę więcej — czy trochę mniej — to już wszystko jedno!... A będzie przynajmniej musiała liczyć się choć trochę z tobą, kiedy się przekonała, że nie jesteś takim znów potulnym cielcem!... No! Nie płacz-że, jak dzieciak!... Podnieś łebek!...

— Lolu! — jęknęła Józia i podniosła twarz, zalaną łzami — ja nie mam sił do takiej walki! Mój Boże, co ja pocznę!...

ROZDZIAŁ VI.

Niebo różowiło się już łuną zachodu, kiedy Józia wracała z zamiejskiego spaceru.

Miała świeże rumieńce, wesole oczy, uśmiech ożywienia na ustach — włosy w nieładzie rozrzucone i kapelusze przekrzywiony; co jej nadawało wygląd trochę łobuzerski.

Obiema rękami podtrzymywała wielką wiązkę dzikich kwiatów, topiąc co chwila swój zgrabny nosek w powodzi różnorodnych kieliszków, dzwonczków, łodyżek.

Złote, pełne jaskry, białe, delikatne zawilce, lepkie, wonne smółki, złote pierwiosnki o brzoskwiniowym zapachu, błękitne oczka niezapominajek, smukłe, gwiazdiste rumianki — wszystko w tej spóźnionej wiosnie, gorące lato w pełni przypominającej — razem nagle wyjrzało i rozkwitło.

Józia bukiet swój przyozdobiła delikatną koronką młodziutkich paproci i wysokimi kiściami jakichś puszystych traw. Cieszyła się wzrokiem tą płątaniną barw i kształtów, chłonęła w siebie ożywczą woń, jaką tchnęła pola, łąki i lasy.

Wyrwała się z dusznego mieszkania Żarnickich na tę przechadzkę, jak się wyrwa więzień na swobodę.

Namawiała Lolę, żeby z nią poszła, ale panna Żarnicka nie chciała. Powiedziała, że nie lubi włóczyć się po „wertepach“ — bo to nic zajmującego.

— Zmęcę się, zgrzeję, opalę, buciki uroszę, suknię zniszczę i co mi po tem? — mówiła.

— Czy nie lubisz słońca, szerokiej przestrzeni, kwiatów? — pytała bratowa.

— Słońce mnie męczy, a spacerować lubię po pięknym, cieniowym parku, gdzie są wygodne drogi... kwiaty... no, mój Boże... przedewszystkiem te przeceniane polne kwiaty to po większej części śmiecie, a powtóre, choćby nawet były